

Paulina Grych
schiza

schiza

Paulina Grych

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2008
Wydanie I
Warszawa 2008

Połączonym

sen o Rolandzie

Siedzi na kasie w pampersie. Powitanie, towar, czytnik, towar. Czasami paskowy kod nie wchodzi, więc musi wpisać cyfry. Dalej nic. Trzeba krzyknąć do koleżanki obok lub wezwać kogoś ważniejszego. Głupi stanik, a tyle kłopotu. Nareszcie dalej. Towar, czytnik, towar, wódka już zapłacona, ale klienci podmieniają i należy sprawdzać, czy zamiast zwykłej berbeluchy nie pojawił się drogi koniak. To samo jest z działem warzywa i owoce – powinna pamiętać, że tajemniczy sharon wygląda trochę jak pomidor, ale kosztuje dużo więcej.

Nigdy nie jadła sharona.

Dzisiaj ma zmianę na kasie bez przesuwanej taśmy, do dziesięciu produktów, jednak klienci mają gdzieś limity i w blaszanym korytku pojawiają się całe piramidy. Znowu coś spadło. Bagietka, niesforna bagietka, supermarketowy wypiek własny, paryski z nazwy, chrupiący, gdy ciepły. Potem gliniasty.

Nie lubi bagietek.

Ochroniarza lubi. Jest duży, ma ogoloną głowę, mocny kark, a biała koszula ciasno opina wielkie mięśnie. Patrzy. Niby na klientów, bo takie bystre obserwowanie to jego praca, lecz ona wie, że gapi się również na nią. Założyła nowe kolczyki, a w szafce na zapleczu schowała czerwone koronkowe majtki, rozcięte tam, gdzie trzeba.

Lubi karty płatnicze. Podają je z wyrazem wyższości osób należących do elity posiadaczy, chociaż zdarza się, że mądre urządzenie informuje o braku środków na koncie. Udadają pomyłkę, udają głupich, szukają innej karty, szukają gotówki. Może się napić.

Może, bo upał. Pogoda zwariowała – połowa kwietnia, a tu tropikalne temperatury. Przy kasie stoi więc woda, by wredni dziennikarze nie tragizowali, że pracownicy supermarketów mdleją z gorąca. Trzeba pić manifestacyjnie. Niech pismak, który stanie w kolejce, widzi butelkę. Kierownik powiedział: „Nie będą darmozjady jedne, szmatławę gryzipiórki, nas szkalować”. Inspekcji pracy też należy pokazać dbałość o pracownika.

Sikać jednak nie wolno, dlatego siedzi na kasie w pampersie. Pomysł poddali dziennikarze, opisujący los pracowników sieci dyskontów, którzy jak niemal wszyscy niewolnicy z handlowych molochów mają niewiele przerw. Pielucha dla dorosłych z wkładem *odour control* i duże bawełniane majtki. W szafce czekają inne, niedobre na upał, udające tylko szlachetną koronkę, sztuczne i obcierające tyłek. Zdejmie bawełniane, ściągnie pampersa, podmyje się, by założyć czerwone seksowne cudo. I w tej ślicznej bieliźnie, pachnąca dezodorantem po trzy osiemdziesiąt dziewięć, będzie czekać na dużego mężczyznę. On kończy pracę o tej samej porze, jednak musi posiedzieć z kumpłami, wypalić papierosa, opowiedzieć kilka dowcipów i porechotać. Z kantorka ochrony często dochodzi tubalny śmiech chłopaków. Są weseli zwłaszcza wtedy, gdy złapią złodzieja, któremu dadzą wycisk. Dobrze wiedzą, kogo mogą łać, kto nigdy się nie poskarży. Sprawę załatwiają prosto: kilka kopniaków w części miękkie, płaskie uderzenia dłonią w owłosioną skórę głowy.

Te same dłonie, bijące, dotkną kobiecych piersi, potem sięgną pod spódnicę. Kopiająca noga pomoże rozszerzyć jej

uda. Ona wcale nie chce ich zaciskać, jednak wie, że muskularny chłopak lubi zdobywać. Znajdzie majtki, znajdzie rozcięcie. I wylądują gdzieś w toalecie, może w magazynie na workach. Płatki kukurydziane sprzedawane w promocji chrzęszczą, twarda cebula albo ziemniaki nie nadają się do miłości, więc niech będą milutkie rodzynki. Jego oddech papierosowy, wilgotny język i jej śliska wilgoć, wypieszczona palcami ochroniarza o byczym karku...

– Czy zbiera pani punkty? – pyta kasjerka.

Cisza.

– Siedem pięćdziesiąt dziewięć. Czy ma pani kartę? Czy zbiera pani punkty? – powtarza ta, którą przez chwilę była.

Diana wraca do rzeczywistości. Oczy przytomnieją. Chyba długo to trwało, bo kilka osób patrzy na nią z niechęcią.

– Nie, nie – zaprzecza i ze ściśniętej dłoni wysypuje monety.

Kasjerka liczy, kolejka mruczy z dezaprobatą, ale nikt nie mówi dowcipu o okradaniu dziecięcej skarbonki. Zgadzają się. Jogurt, bardzo mały chleb, paczka ciastek oznaczona logo sieciowej taniaści, niedrogie podpaski oraz paragon zostają zapakowane do woreczka.

– Dziękuję. Do widzenia – mówi Diana.

Ochroniarz spaceruje leniwie. Ona, niedoszła kochanka, spuszcza głowę i szybko mija mężczyznę, czując, że jeżeli ich wzrok by się spotkał, to on pozna jej myśli.

Nie siedzi na kasie w pampersie. I nigdy nie usiądzie. Wie nawet, że nie mówi się „na kasie”, lecz te, które tu pracują, tak nazywają swoje zajęcie. A ochroniarz w białej koszuli, silny chłopak o sokolim wzroku, wcale na nią nie patrzył. Jeżeli spojrział, to nie była w jego oczach kobietą godną pożądania, lecz obiektem zawodowej obserwacji. Do męskiego patrzenia ma inne: stukające obcasami, wymalowane klientki w spódniczkach i z kolczykami

w pępkach. Diana, ubrana w workowate rybaczki, wyciągniętą koszulkę, z włosami posklejanymi od potu, nie może być przedmiotem pożądania.

Przy ruchomej pochylni zwolniła. Kiedyś, w pierwszym tygodniu po otwarciu nowej galerii, gdy pierwszy raz jechała taśmociągami dla ludzi, potknęła się. Ktoś ją podtrzymał, ale i tak upuściła torbę z zakupami. Potem na dole zbierała rozsypane produkty.

– Trzeba uważać – powiedziała jakaś elegancka kobieta.

Nikt jej nie pomógł. Patrzyli tylko. Zaaferowani, niby przez nieuwagę kopali jabłka i cebulę. Chce o tym zapamiętać, lecz zawsze, gdy mocno chwyta poręcz, ostrożnie stawiając stopę na słońcu, widzi tamtą scenę. Już spokojnie, dzisiaj wszystko będzie dobrze, a zakupów ma niewiele. Jeszcze tylko krok i nareszcie stoi na pewnym gruncie – na posadzce z szarych płytek.

Wokół fontanny siedzą ludzie. Obserwują szumiącą kaskadę, rozmawiają, piją coś lub liżą kręcone lody w wafelach. Krzeselka przy stolikach też są zajęte. Tam desery podają w pucharkach. Wymyślne, kolorowe, pełne owoców, słodkich sosów, bitej śmietany, rodzynek, orzechów i innych pyszności. Po piątym także zamówi wspaniały przysmak. Robert obiecał, że kiedyś usiądą przy stoliku, by zjeść wymarzony deser, ale teraz, gdy między nimi stało kurze udko, rozstali się na zawsze.

Robert przypomina tego ochroniarza. Obcina się na krótko, jak amerykański żołnierz. W sklepie z używaną odzieżą zawsze znajdzie wojskowe kurtki, a na przecenach wypatrzy koszulki w zgniętym kolorze. Na szyi ma zawieszony srebrny nieśmiertelniki.

– Trzeba nazwisko i adres wygrawerować – mówi Irena. – Jak się znowu zgubisz.

Zazwyczaj dodaje coś o psach. Pod nosem, ale ojciec Roberta słyszy, jednak wcale nie protestuje. Śmieje się z dowcipu porównującego syna do kundla. Irena nie jest matką Roberta, chociaż robi wszystko, co matka robić powinna: sprząta, pierze i gotuje. Ma też obowiązki żony, bo żyje z jego ojcem, chociaż nie łączą ich ani ślub cywilny, ani kościelne przyzwolenie, dlatego gdy ksiądz chodzi po kołędzie, Irena przedstawiana jest jako daleka kuzynka.

Ta, która urodziła Roberta, nie lubiła prac domowych. Życia też nie lubiła. Pewnego wieczoru zapytała syna, czy odrobił lekcje. Postawiła na stole talerz kanapek z szynką. „Pogłaskała mnie po głowie, pocałowała i powiedziała, żebym był grzeczny – wspominał Robert kilkanaście lat później. – Jadłem, oglądałem telewizję. Usłyszałem trzask drzwi. Nie zastanawiałem się, po co wyszła... Może śmieci wyrzucić albo do sąsiadki”. Gdy ojciec Roberta wrócił z pracy, znalazł list. Matkę Roberta znaleźli po kilku miesiącach. Odra oddała napuchnięte ciało okaleczone przez śruby barek i ryby. Dzień pogrzebu Robert przesiedział w kącie pokoju, kiwając się rytmicznie.

Pachnącego czosnkiem kurczaka upiekła Irena, która lubi prace domowe. Robert przyniósł jeszcze pół blachy placka drożdżowego z kruszonką, duży słoik bigosu, pomidory i ogórki. Zjedli kolację. On niczego Dianie nie bronił, a nawet sam dokładał na jej talerz. Nie bez powodu. Jeszcze nie skończyła posiłku, gdy zdjął spodnie. Miała na sobie tylko nocną koszulę, więc wystarczyło podniesienie bawełnianej szatki. Pocałował ją niezgrabnie w usta, boleśnie ścisnął pierś i włożył rękę między nogi. Dotknęła go, chociaż już dawno był gotowy. Przewalili się na bety, a ona myślała o drożdżowym cieście. Długo nie myślała, bo Robert jest szybki i zaraz kończy to, co pospiesznie zaczął.

Przed snem dała mu jego tabletki. Zażyła też swoje, popijając zimną herbatą. Dojadła ciasto i zanim lekarstwo zaczęło działać, sprawdziła, czy drzwi są zamknięte, a gaz wyłączony. Położyła się obok Roberta. Miejsca zostało niewiele, bo rozwalili się jak król.

Obudziła się przed świtem. Zmarzła, on zaś leżał okręcony kołdrą, dla niej zostawiając tylko skrawek. Wstała i poszła do kuchni. Nie zapaliła światła, po ciemku odnalazła resztkę pieczonego kurczaka. Ze smakiem obgryzła pachnące czosnkiem mięsko. Wróciła do łóżka.

Obudził ją krzyk Roberta:

– Gdzie jest udko?

Diana popatrzyła nieprzytomnie. Stał nagi z talerzem w dłoni.

– Gdzie jest udko? – powtórzył.

– Zjadłam.

Rzucił talerz na łóżko. Wolala tak myśleć, nie dopuszczając do siebie, że chciał w nią trafić.

– Robciu, co ty? – powiedziała łagodnie.

– Dziwka. Tłusta, głupia dziwka.

Ubierał się i pakował reklamówki, nie zapominając o lekach, słoiku, foremce z resztką ciasta, pomidorze oraz dwóch ogórkach, i cały czas powtarzał wstrętne słowa o jej dużej dupie, durnej gębie i kurewskim prowadzeniu. Nie pomógł ani szloch Diany, ani jej miłosne zapewnienia. Robert wyszedł, trzaskając drzwiami i zostawiając pustkę w niej oraz w lodówce.

Przeszukała portmonetkę, kieszenie spodni oraz kurtek, kryształową miseczkę pełną niepotrzebnych drobiazgów, a nawet wszystkie szuflady. Znalazła tylko kilka drobnych monet. Pożyczyła od sąsiadki pięć złotych, przyrzekając, że odda za dwa dni, gdy przyjdzie listonosz z rentą. Zanim poprosiła o pieniądze, powiedziała o rozstaniu z Robertem. Sąsiadka machnęła tylko ręką. Bo to pierwszy raz!

Teraz, gdy z jogurtem, chlebem, podpaskami i paczką ciastek wracała z supermarketu, spoglądała na swoje odbicie w błyszczących szybach wystaw, myśląc o słowach Roberta. Dziwką chyba nie była, ale tyłek miała duży. Tuż po swoich dziewiętnastych urodzinach wyglądała jak te, które chodzą po wybiegach Paryża lub Mediolanu: rączki i nóżki niczym patyczki, wystające żebra, kościste biodra. Chude modelki przynajmniej patrzy, by nie przewrócić się na wysokich obcasach, ale oczy Diany, oczy wielkie i rozgorączkowane, nic nie widziały.

Biła na osłep. Uderzyła w coś białego, co próbowało ją złapać. Przegrała jednak walkę, bo inne potwory przybyły na odsiecz.

– Dziewczyno, coś ty z sobą zrobiła? – zapytał.

Nie miał białego kitla, lecz błękitną koszulę. Diana leżała w izolatce, przypięta pasami do łóżka, a nad nią pochylał się mężczyzna o szczupłej, pociągłej twarzy.

– Będziesz grzeczna? – zapytał. – Rozepnę cię.

Nie była grzeczna, bo gdy zbliżył dłoń do pasa krępującego jej nadgarstek, próbowała lekarza podrapać.

– Auć! – krzyknął teatralnie. – Kocica. Poleżysz tak, póki nie zmądrzejesz. Siostró, jeszcze jeden – powiedział do monstrum, które stało w kącie izolatki.

Coś ją ukłuło. Diana wybelkotała słowa protestu, ale nikt się tym nie przejął. Potwór wyszedł, zostawiając otwarte drzwi. Mężczyzna przysunął krzesło bliżej łóżka i usiadł. Z kieszeni wyjął paczkę jednorazowych chusteczek, by wytrzeć ślinę, która zgromadziła się w kącikach jej ust.

– Już lepiej – powiedział. – Dojdiesz do siebie. Obiecuje. Mam na imię Roland.

Lek powoli działał, więc Diana odpływała w senny niebyt, z poczuciem, że zawsze go szukała. Rolanda.

Znowu go nie było. Diana wróciła ze sklepu, wypila jogurt i otworzyła paczkę ciastek. Z niechęcią spojrzała na talerz, który nadal leżał na łóżku; trochę sosu spłynęło na koldrę. Miała nadzieję, że Robert wróci i zobaczy, co zrobił.

Siedziała na łóżku, obgryzając biszkopt tak, by na koniec została najlepsza część: kwaskowata galaretka oblana czekoladą. Jadła, myśląc o prawdziwych delicjach, bo te ciastka były tylko marną podróbką. Piątego, może czwartego, pójdzie do sklepu i kupi. Telefon stał na swoim miejscu. Milczał. Nikt – ani ten, który rzucił talerzem, ani ktokolwiek inny – nie chciał z nią rozmawiać. Wstała, a okruchy spadły na podłogę. Wybrała numer komórki, bo pewnie był w pracy. Nikt nie odebrał, automat powiedział, że abonent jest niedostępny. Wystukała kolejne cyfry; tutaj, po kilku głuchych sygnałach, mogła przynajmniej nagrać swój głos. Miało być ładnie, zwięzłe i na temat, a wyszedł bełkot smutku, niepewności i oczekiwania.

Tamci, przed nim, byli poszukiwaniem. Inni, po nim, tylko próbą zapomnienia.

Zatelefonowała do Beaty, jednak oprócz: „Ojej, współczuję, jakie to smutne”, oraz rady, by w modlitwie szukała duchowego wsparcia, nie usłyszała nic, co mogłoby pomóc.

– On ma żonę i dzieci – dodała Beata na wieść o telefonie do Poznania. – Węzły małżeńskie są święte. Pamiętaj o tym.

Po rozmowie z koleżanką Diana zażyła południową porcję lekarstw. Zdjęła ubranie i położyła się do łóżka, nogą przesuwając talerz z resztkami tłuszczu. Odpływając w sen, myślała o tym, co zdarzyło się w izolatce.

Roland Witkowski nie był już szczupłym idealistą. Przytył trochę, zgolił hiszpańską bródkę, a jego ciemna, falująca czupryna zaczęła powoli zniknąć. Zaczesał włosy, ale gdy powiał wiatr, na czubku głowy ukazywał się placek gołej skóry. Doktor nie potrafił się pogodzić z upływającym czasem, więc w tajemnicy przed żoną kupował środki zapobiegające łysieniu. Jako lekarz nie powinien wierzyć w ich skuteczność, lecz jako próżny mężczyzna miał nadzieję na cud.

Wysiadł z samochodu. Radośnie, jak chłopiec obdarowany nową zabawką, przycisnął autopilota i samochód wydał pożegnalny elektroniczny dźwięk. Roland zlustrował metaliczne cudo japońskiej techniki. Zadrapań nie było, trochę miejskiego kurzu, jedynie na tylnej szybie widniała rozbryzgana plama ptasiej kupy.

– Coś ty, kutasie, zeżał? – mruknął, z gorliwością badacza przyglądając się wielobarwnej plamie pozostawionej zapewne przez gołębia. – Jagody jakieś czy co?

Pomyślał, że po obiedzie wróci do podziemnego garażu, by doprowadzić auto do porządku. W mieszkaniu pachniało smażeniną.

– Mielone? – zapytał.

Żona, w fartuszką okrywającym grafitowy kostium, jeszcze w szpilkach, wyjrzała z kuchni.

– Klopsiki szwedzkie – powiedziała.

– Z Ikei?

– Tak. Oglądałam sofy, więc...

– Po jaką cholere? – przerwał. – Meble chcesz zmieniać?

Wzruszyła ramionami. Stała przy kuchennym stole i zaczęła energicznie mieszać sałatę.

– Telefonowała – powiedziała, patrząc nie na męża, lecz w miskę. – Nagrała się na sekretarkę.

– O Jezu – jęknął.

- Odsłuchaj i może...
- Nie ma mnie.

Natarczywy dzwonek wdarł się w sen. Diana otworzyła drzwi, pewna, że to on. Odsłuchał wiadomość, wsiadł do samochodu i przybył, żeby już na zawsze... Nie wiedziała, ile trwa podróż z Poznania, ale on zawsze lubił szybką jazdę, więc wiedziony miłością mógł błyskawicznie pokonać dwieście trzydzieści osiem kilometrów.

Przed drzwiami stał Karol z reklamówką w ręce. Uśmiechał się, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

– Mogę się u ciebie wykapać? – zapytał, gdy wszedł do przedpokoju.

– Gaz ci odcięli – stwierdziła Diana.

– No! – potwierdził z dumą, jakby niepłacenie rachunków było aktem odwagi. – Puszczę wodę i pogadamy – dodał, znikając w łazience.

Diana wiedziała, że zapowiadana rozmowa będzie monologiem Karola.

– Robert mnie rzucił! – zawołała, by przekrzyczeć szum wody i wykorzystać szansę na opowiedzenie własnej historii.

– Co?

– Robert mnie rzucił! – powtórzyła.

Wszedł z łazienki w samych gatkach. Był drobny, niemal o pół głowy niższy od Diany. Jego bladą skórę pokrywały jasne piegi, jedynie na twarzy, szyi, karku i części rąk przybrały ciemniejszą barwę. Karol tak właśnie się opalał: w drobne łatki. Wysłuchał relacji z przebiegu wydarzeń, ani na chwilę nie przerywając swojego nerwowego tańca – przenoszenia ciężaru ciała z prawej nogi na lewą. Sam nic nie mówił, chrząkał tylko i pociągał nosem.

– Zadzwoiłam do doktora – dokończyła Diana.

– I co?

– Nie odebrał.

– Pewnie wyjechał – pocieszył Karol. – No, starczy tej wody. Wchodzę do wanny.

Diana włączyła telewizor. Nie mogła znaleźć pilota, by podgłośnić, więc w ciszy patrzyła na kolorowe obrazki. Nie wstając, krzyknęła do Karola, by umył wannę, bo ostatnio syf straszny zostawił. Zapewnił, że zrobi porządek. Diana spojrzała na talerz w rogu tapczanu, potem powiodła wzrokiem po pokoju. Na ławie stały brudne naczynia, leżało też opakowanie po ciastkach, pudełka z lekami i stanik nie pierwszej świeżości. Chwyciła biustonosz i rzuciła go na stos ciuchów w kącie. Ubrań było tak dużo, że niemal całkowicie zakryły stojący tam od miesiąca odkurzacz. Tylko kawałek rury wystawał ponad stertę.

– Wymyłem – oznajmił Karol, wchodząc do pokoju. Był ubrany i wesolutki. – Dlaczego tak cicho? Mogę dziennik obejrzeć? – Wiadomości wieczorne nosiły już inne nazwy, ale on używał tej, którą zapamiętał z dzieciństwa.

Diana kiwnęła głową, nie pytając o wyłączony prąd. Karol sięgnął po pilota leżącego pod ławą. Zwiększył głośność, usiadł w fotelu i zaraz wstał, mrużąc pod nosem. Spojrzał na siedzisko.

– O! Butelka – powiedział bez większego zdziwienia. – Zaniosę do kuchni.

Co zrobił. Po chwili Diana usłyszała metaliczny rumor.

– W garnki jakieś wlałem – stwierdził po powrocie. – Później wyniosę śmieci, bo trochę wali z wiadra.

Obejrzał wiadomości. Na siedząco nie mógł dreptać, ale cały czas poruszał lewą nogą, piętą wystukując monotony rytm. Zmienił na prawą po pogodzie, gdy zaczął mówić o swoim nowym wierszu. Diana udawała, że słucha, chociaż tak naprawdę myślała o doktorze Rolandzie. Karol gadał, bawiąc się przyciskami pilota. Natrafił na

powtórkowy odcinek *M jak miłość*, więc zamilkł. Bardzo lubił ten serial.

– Chce mi się spać – powiedziała Diana po półgodzinie spędzonej z Mostowiakami.

Karol mrugnął do niej. Wyczekującą miną o coś pytał, Diana jednak pozostała obojętna.

– To ja pójdę. Wezmę worek ze śmieciami – stwierdził z żalem, nie dodając, że to, co niekiedy bywa między nimi, zdarza się tylko przed snem...

Miał jedenaście lat, ognistą czuprynę, piegi i nic więcej. Rodzice harowali, ale nie dorobili się ani samochodu, ani kolorowego telewizora marki „Rubin” czy pralki automatycznej. W domu nie grał adapter albo szpulowiec, nie mówiąc o jakimś kasetowym cudelku. Mebłocienka, stół nakryty ceratą, haftowana serwetka pod szkłem na ławie, czarno-biały odbiornik i stare radio nikogo nie zachwyciły. Nie kupowali niczego w Peweksie, więc na regale nie stały butelki po lepszych alkoholach. Balonówkę dostawał tylko czasami i żuł ją przez parę dni, każdego wieczoru starannie zawijając w papierek, by starczyła na dłużej, a zabawne historyjki z bohaterami Disneya, dołączane do gumy, gromadził w pudełeczku po czekoladkach. Codziennie osładzał oranżadą w proszku zlizywaną z dłoni lub mlekiem skondensowanym, wyciskanym z tuby wprost do buzi. Bywało, że gdy zapowiadany przez wiele tygodni statek docierał nareszcie do portu przed Bożym Narodzeniem, ojciec przynosił zielone kubańskie pomarańcze. Zdarzało się to tylko wtedy, gdy skrzynka z owocami niefortunnie rozbiła się przy wyładunku. Rzadko je przynosił, chociaż skrzynki często leciały na nabrzeże, ale ojciec był dźwigowym i zanim zszedł, to przeważnie nic dla niego nie zostawało. Po powrocie z pracy powtarzał tylko:

– Nie będę, jak psy jakieś, rzucał się na barachło.

Ojciec Karola był uczciwy. Nie kupili sztucznej choinki, a o migoczących lampkach, które pojawiły się pewnej zimy w mieszkaniu marynarza z dziewiętego piętra, mogli tylko pomarzyć. Karol, chociaż dobrze się uczył i zeszyty prowadził starannie, nie liczył nawet, że na komunię dostanie rower. I nie dostał. Ale syn marynarza od lampek choinkowych, mimo złych ocen miał nowiutkiego pomarańczowego składaka.

– Rudy, chcesz pojeździć? – pytał.

– Tak.

– To mnie złap!

Karol biegł, aż mu tchu w płucach brakowało, ale tamten był szybszy. Później, po dwudziestu kilku latach, przeczytał w gazecie notatkę o synu marynarza, któremu rowery już przestały wystarczać, więc przerzucił się na samochody. Należał do dużego gangu i kradł auta. I ktoś w końcu go dogonił. Podczas policyjnego pościgu wpadł czarną beemką na drzewo. Nie przeżył. Może jednak uciekł na boskie łono? Prędej w piekielne czeluście, bo złodziejstwem parał się przy okazji. Mówiono, że mordował na zlecenie.

Rudy, bez roweru i kolorowego telewizora, nikomu nie imponował. Wielu było w podobnej sytuacji, bo czasy oraz zwyczajny blok, ale w dziecięcym rankingu koleżeńskich związków z powodu ognistej czupryny oraz piegów Karol stał najniżej. Nie pomagały owoce z pracowniczej działki, którymi częstował kolegów. Zjadali, ale nadal był nikim.

Gdy Diana zaprzyjaźniła się z Karolem, była wiosna. Wybuchła niespodziewanie, tak samo jak w poprzednich latach, bez powolnego wzrostu temperatury. Jeszcze tydzień wcześniej padał gęsty, mokry śnieg, a zmarznięci ludzie

ślizgali się na chodnikach. Zawiał wiatr, przynosząc falę ciepła, i brudna miejska breja zniknęła jednej nocy. Diana nie zmieniła ani zimowej kurtki, ani wełnianego nakrycia głowy: wychodząc z domu, założyła granatową czapkę z wielkim, krzywo przyszytym pomponem. Dopiero gdy wracała z apteki, poczuła, że słońce mocno przygrzało i temperatura jest wyższa niż dzień lub dwa wcześniej. A może trzy? Nie pamiętała, ile dni przesiedziała w domu, przemysliwując poważną rozmowę z panią Witkowską.

Spotkały się przypadkiem przed szpitalem. Diana wychodziła z receptami, gdy na parkingu zobaczyła doktora Rolanda wsiadającego właśnie do samochodu. Przyspieszyła kroku, by zdążyć się przywitać. Nie był jednak sam – na miejscu obok kierowcy siedziała jakaś kobieta. Lekarka? Pielęgniarka? Nikt znajomy... Diana stanęła niepewnie obok schodów prowadzących do ciężkich drzwi oddzielających normalność od wariactwa, a Witkowski powiedział coś do swojej towarzyszki. Rozmawiali. Doktor wysiadł, lekko uklonił się Dianie, obszedł auto i otworzył drzwi od strony pasażera. Kobieta wygramoliła się z samochodu. Spod błękitnego szala fantazyjnie okrywającego głowę widać było postrzępioną, jasną grzywkę. Blondynka miała na sobie granatowy, szeroki płaszczyk. Diana pomyślała z satysfakcją, że kobieta jest gruba i próbuje to ukryć. Doktor Roland Witkowski kiwnął ręką.

– Chodź – krzyknął.

A co tam... Diana ruszyła spod schodów.

– Dzień dobry – powiedziała, zbliżając się do samochodu.

– Chcę przedstawić ci moją żonę.

Żonę? Wiedziała, że była jakaś, w innym mieście, niemal rozwiedziona, bo nie idzie utrzymać małżeństwa na odległość... Byli jednak razem, a to, co z daleka wydawało

się efektem miłości do kartofli, zasmażek i słodkości, w rzeczywistości świadczyło o rozkwicie uczucia.

– Ewa – powiedziała kobieta, wyciągając rękę.

Diana chciała ją uderzyć. Może w brzuch, by przekonać się, czy to bękart, a może tylko nadmuchany balon. Nie zrobiła tego, i z wysiłkiem podała jej dłoń.

– No, to ja sprawdzę olej, a wy sobie pogadajcie. Wsiądźcie do samochodu, bo tu zimno. Odwieziemy cię – zarządził Roland. Otworzył tylne drzwi i lekko popychając Dianę, zmusił ją, by wsiadła. Żonę delikatnie umieścił na przednim siedzeniu.

Milczały, obserwując jego zmagania z klapą silnika. Zrezygnował, głośno krzycząc, że chyba zamarzło. Z bagażnika wyjął żółtą łopatkę oraz szmatkę. Zaczął czyścić okna, z napięciem zerkając do wnętrza samochodu.

– Lubisz go? – zapytała doktorowa.

– To dobry lekarz – Diana odpowiedziała wymijająco. – Bardzo mi pomógł, proszę pani – dodała, akcentując dwa ostatnie słowa, by podkreślić przepaść między nimi, pacjentką i żoną doktora.

– Opowiadał mi o tobie. Roland przejmuje się swoją pracą, ale czasami... Czasami jest zbyt otwarty... Naiwny... Zwłaszcza wobec osób rozchwianych emocjonalnie – dokończyła po chwili.

– Nie zauważyłam – powiedziała Diana drżącym głosem.

– Zadurzyłaś się w nim – stwierdziła doktorowa. – Ja to rozumiem. Jest przystojny, starszy, opiekuńczy, ale to mój mąż i będziemy mieli dziecko... Musisz zrozumieć, że twoje telefony o różnych porach, wystawanie pod blokiem, a zwłaszcza te opowieści o czymś, co was rzekomo łączy, mogą Rolandowi zaszkodzić. Na razie na oddziale tylko kpią, żartują, jednak wystarczy, że ordynator poważ-

nie potraktuje doniesienia o romansie między lekarzem a pacjentką. To pachnie procesem.

– Ale... – zaczęła Diana. – Nic nikomu nie mówiłam... Tylko...

Bałagan w głowie. Powiedziała? Nie? Surowy sędzia w jej głowie mówił: „Oskarżam o gadanie bez sensu, zwierzzenia i myśli nieczyste. O marzeniach, w których izolatkowy dotyk stał się męską pieszczotą”. Co miała na swoją obronę? Tylko lzy, zamiast zapewnień o niewinności.

– Nie płacz – powiedziała pani Witkowska, podając Dianie jednorazową chusteczkę. – Znajdź sobie kogoś w swoim wieku... A on... On wcale nie jest taki fajny.

Jeszcze coś mówiła, ale Diana wiedziała, że kłamie. Nie, to nie mogła być prawda, jedynie bzdury zazdrośnicy. Skończywszy swe narzekania, Ewa Witkowska zastukała w szybę i doktor wszedł do samochodu.

– Dianuś, już dobrze? – zapytał, patrząc z niepokojem na pacjentkę.

– Roland! – skarciła go żona. – Jedziemy.

– Ona płacze.

– Popłacze i przestanie. To dobre dla oczu i duszy. No, już! Wiesz, że mamy mało czasu.

Doktorowa była twarda, a on chodził jak w zegarku. Diana rzadko przeklinała, ale wtedy, podczas jazdy do domu, bezgłośnie powtarzała wszystkie brzydkie słowa najlepiej charakteryzujące oboje małżonków. Pomogło. Przestała płakać, a gdy wysiadała, zdobyła się nawet na uśmiech i grzeczne podziękowanie za podwiezienie.

– Dianuś, w porządku? – zapytał doktor.

– Roland – z przyganą wycedziła pani Ewa.

Diana kiwnęła głową, mając nadzieję, że jej oczy mówią to, co myślała: „Mam cię w dupie, pantoflarzu!” W domu zmieniła jednak zdanie. Południowe tabletki zapewniają-

ce spokój kusily żółtością tak samo jak słodkie kuleczki z orzeszkiem w środku. Dawno ich nie jadła, ale gdyby pigułkę dodać do pigułki, i jeszcze jedną, i jeszcze... Całą garść bez rozgryzania. Potem popić wodą. Zasnąć. Na wieki.

Były tylko dwie, a niezrealizowane recepty w kieszeni. Nie miała ochoty wychodzić. A co tam... Zażyła jedną tabletkę. Kłamała, głupia suka, kłamała o nieopuszczonej desce czy brudnych skarpetkach rzucanych pod krzesło. Nawet gdyby tak było, to ona, Diana, opuściłaby klapę i podniosła jego rzeczy. Bez gadania. Tubkę pasty do zębów nietrudno zakręcić, a baki to każdy puszcza. Każdy. Wredna suka z tej doktorowej.

Te dwa lub trzy dni Diana spędziła w łóżku, klóćąc się z żoną doktora, rozważając każde jej słowo i wymyślając bystre odpowiedzi. Riposty. Tak, riposty...

Myśl o kolorowych cukierkach z orzeszkiem w środku wcale nie znikła. Diana ubrała się więc i poszła do apteki. Wracając, już pod blokiem, zdjęła czapkę. Podniosła głowę do góry i odszukała okna swojego mieszkania. Szóste. Wysoko. Gdyby tak...

– Dzień dobry pani! – drobny człowieczek w brązowej skórzanej kurtce wykończony kożuszką pozdrowił ją serdecznie. Grzecznie uniósł czarną bejsbolówkę.

Diana zobaczyła gładko przyczesane rude włosy. Odpowiedziała, a jej nogi, tak same z siebie, wykonały coś, co było dorosłą wersją kindersztuby wpojonej przez babcię: grzeczne dziewczynki dygają. Rudy uśmiechnął się. Przystanął, uznając ten zabawny niby-sklon za zaproszenie do sąsiedzkich pogaduszek. Diana, chociaż widywała rudego często, nawet wtedy, gdy tylko pomieszkiwała w tym bloku, niewiele o nim wiedziała. Nie jeździł windą i można go było spotkać o różnych porach dnia.

– Mamy wiosnę – zagaił.

– Eee – odpowiedziała wymijająco.

Próbował jeszcze o pogodzie i wildze, która rano śpiewa, ukryta gdzieś w klonach. Na wyrecytowany wiersz ulubionego poety też nie zareagowała. Diana miała spuszczoną głowę. Zawiedziony rudy pożegnał się i już zamierzał odejść, gdy usłyszał jej niepewny głos:

– Proszę pana, czy gdyby ktoś wypadł z szóstego piętra, to na pewno umrze?

Mężczyzna spojrział w górę.

– Chyba tak, chociaż... – zastanawiał się przez chwilę.
– Mógłby zatrzymać się na którymś z balkonów. Pani widzi, jak są zbudowane. Wylądowałby na czwartym...

– A samobójca?

– Inna sprawa. Powinien wejść na poręcz balkonu, tam, gdzie są te skrzynki na kwiaty, odbić się i sru, w dół – powiedział rudy, uniesieniem rąk, a później kiwnięciem głowy pokazując lot i uderzenie. – Stąd nie skaczą – dodał.

– Nie? – zdziwiła się Diana. – Dlaczego?

– Bo ja wiem. Na ten trawnik to wszystkie psy srają. Nawet samobójca nie chciałby w psich gównach leżeć. Podpaski czasem lecą – dodał, niepewnym uśmiechem pokrywając zażenowanie.

Spojrzeli oboje. Na skrawku ziemi rósł różany krzaczek. Było ciepło, ale roślina przetrwała niejedną zdradliwą wiosnę, pełną nagłych zmian temperatur, więc nieśmiało zaczęła wypuszczać pączki. Trawnik, zazieleniony po pierwszych promieniach ciepłego słońca, upstrzony był psimi kupami, petami i papierkami. Podpasek nie było. Patrzyli razem przez chwilę, a rudy mówił o tym, co wylatuje przez okna. Dużo jedzenia, bo to i chleb dla gołębi, i zepsuta pasztetówka dla kotów. Rok temu była impreza gdzieś wyżej, więc sąsiadce balkon sałatką zarzygali, a niestrawiony, pew-

nie marynowany grzybek przykleił się do okna. On sam, chociaż balkonu nie ma, bo mieszka na parterze, położył kiedyś pościel na parapecie i na wietrzonej koldrze wylądował mu talerz z resztkami pomidorowej. Chodził po sąsiadach, chcąc oddać uratowane naczynie, lecz nie znalazł tego, komu zupa z makaronem nie smakowała.

– Różne rzeczy lecą... Ludzie nie – mówił dalej.
 – Z tamtego bliżej ulicy to tak. Raz mój ojciec szedł do pracy, do portu, na szóstą, a tuż przed nim: lup! Zima była, ciemno, i nawet nie przypuszczał, że to człowiek... No... U nas inaczej kończą ze sobą, powiedziałbym: kameralnie. Kiedyś jedna truła się gazem, ale ją uratowali, bo weszli przez balkon. Mąż ją rzucił, czy co... Ludzie gadali...

Rudy przerwał, by ukłonić się przechodzącemu mężczyźnie. Począł, aż ich minie.

– Mówili, że była lesbijką i spała z pijaczką spod dwunastki – wyszeptał. – A ten blok jest przeklęty. Całe osiedle też, ale nasz najbardziej!

– Dlaczego?

– Tu, jeszcze za Niemców, był cmentarz. Nie wiem jaki, podobno żydowski. Kiedyś przyjechała koparka i dziurę w ziemi zrobili. Rura pękła czy coś. Sam widziałem w wyrzuconej ziemi mnóstwo czaszek. Niektóre jeszcze z zębami.

– Może ofiary wojny. Ludzi wszędzie grzebano. Dziadek mi opowiadał, że jeden z placów nazywano nawet placem Sztywnych, bo odkryto tam masowe groby – siebie samą pocieszyła Diana. – Mogli zapomnieć.

– Nie – twardo zaprzeczył rudy. – Blok stoi na grobach, a ci, których spokój został naruszony, przekleli miejsce i mieszkańców. Zupełnie jak w tym filmie o domu zbudowanym na starym cmentarzu, w którym straszły duchy pochowanych Indian.

– Indianie? Tutaj, w Szczecinie? – zdziwiła się Diana.

– No nie, o filmie mówię – zniecierpliwił się rudzielec. – Zmarły to zmarły, więc wszędzie pragnie szacunku, a jak nie... – zrobił teatralną pauzę – ...może straszyć, robić krzywdę, bo ma wielką moc.

– To zwykły blok – powiedziała Diana z niepokojem w głosie.

– Zwykły? – rudy zaśmiał się. – Widziała pani, ile tu upośledzonych dzieci mieszka? Są nawet bliźniaki z dównem. Ile chorób! Wylewy, zawały, nowotwory...

– Pewnie azbest – Diana nieśmiało zaproponowała logiczne wyjaśnienie rzekomej klątwy.

– A te samobójstwa? Usiądźmy na ławce, to pani opowiem, co dzieje się w tym bloku – zaproponował. – Ja dużo wiem.

Wiedział, bo mieszkanie na parterze i wrodzona, niemal kobieca ciekawość, którą sam nazywał wyczulonym zmysłem obserwacji lub artystycznym okiem, oraz skrywana samotność wyrzutka sprawiały, że fascynował się życiem sąsiadów. Dokończył więc o tej kochającej inaczej, którą za odkręcenie gazu oskarżono o narażenie osób trzecich. Nie znał wyroku sądu, kobieta wyprowadziła się. Potem wspomniał innych samobójców: wisielca niepokodzonego z rakiem oraz wariata z trzeciego piętra.

– Skoczył do morza w Międzyzdrojach, więc chyba to się nie liczy – rozważał głośno. – Zwariował jednak tutaj. Byłem dzieckiem, gdy książki przez okno wywalał. Podobno doktor jakiś, a zgłupiał. Może od tych książek. Ja też mam dużo...

Diana nie usłyszała dalszego ciągu przemowy, w której rudy chwalił się swoją biblioteką. Zareagowała jedynie na słowo „doktor”.

– Lekarz? – zapytała.

– Co? – rudy przerwał monolog.

- No ten, który utopił się w morzu...
- Nie, fizyk czy matematyk. Dlaczego pani pyta?
- Ja... bo... – zająknęła się i umilkła.

Po chwili znalazła jednak słowa i opowiedziała rudemu o doktorze Rolandzie Witkowskim. Kiwał głową, stukał nogą, lecz ona, nie wyczuwając, że mężczyzna się nudzi, powodowana chęcią przekazania własnych lub cudzych dziejów, kontynuowała historię wielkiej miłości. Po kilku minutach monologu rudy z uwagą zaczął wsłuchiwać się w słowa Diany, bo szukał w nich literackiego tworzywa.

– No cóż... – powiedział, gdy skończyła. – Cóż... młoda pani jest, więc znajdzie pani kogoś odpowiedniego – zaczął niepewnie, bo zrozumiał, dlaczego pytała o ostatni lot z szóstego piętra. – Ja jeszcze nikogo nie znalazłem. Nawet nie szukam, bo mam o wiele ciekawsze zajęcia – dokończył tajemniczo.

Rudy miał nadzieję, że wzbudzi jej zainteresowanie i będzie mógł opowiedzieć o swoich udrękach twórczych. Nie zapytała. Chciała tylko wiedzieć, ile ma lat. Z trudem wyjawiał datę urodzin, bo ukończona trzydziestka oddalała marzenie o krytykach literackich zachwyconych dojrzalymi dziełami młodziaka. Cały czas wierzył w udany debiut, chociaż oprócz wierszyka o matce, zamieszczonego w podstawówce w szkolnej gazecie ściennej, oraz listu do redakcji, który został wydrukowany w lokalnej gazecie, niczego więcej nie opublikował. Diana nie zdziwiła się jego wiekiem i powiedziała tylko, że dobrze wygląda. Sama była o dziesięć lat młodsza.

- Jak pani ma na imię? – zapytał.
- Diana.
- To śmieszne, bo ja jestem Karol.
- A co w tym... – nie dokończyła pytania, bo zrozumiała kontekst.

Nie pasowali do siebie. Różnili się wiekiem, wzrostem i wagą. Zupełnie jak tamci brytyjscy bohaterowie kolorowych czasopism, idole masowej wyobraźni, których pięknie rozpoczęte małżeństwo – bo to i karoca, i suknia bajkowa, i wiwatuujące tłumy – skończyło się tak samo brzydko jak związki zwykłych ludzi. Tamtej wiosny księżna Diana jeszcze żyła.

Za kobietą i mężczyzną przypadkowo noszącymi książęce imiona nie stał dynastyczny obowiązek podtrzymania królewskiego rodu, i dlatego Diana i Karol nie widzieli w sobie nawzajem potencjalnych kochanków. Mimo to opinia blokowa z miejsca połączyła ich w parę, uśmiechając się z politowaniem. Sąsiedzi mieli temat do rozmów, plotek i domysłów snutych w windzie, na korytarzach czy podczas spacerów z psami. Z końcowym wnioskiem, że swój do swego ciągnie...

W ciągu następnych tygodni już nie na ławce, ale w obu mieszkaniach, nowi znajomi opowiadali sobie życie swoje i innych. Karol dowiedział się, że dziadek Diany, dekarz, czasami pił w „Gdaku”, a babcia malowała paznokcie pięknym paniom. I brwi im przyczerniała, i siedziała skulona na małym stołeczku, by doprowadzić ich stopy do porządku. Karol odwdzięczał się opowieściami o ojcu portowcu oraz mamie motorniczej na tramwaju. Mówił ładnie, więc Diana niemal widziała małego, rudego Karolka, stojącego przy oknie w... pralce. Rodzice pracowali na zmiany i niekiedy, wczesnym świtem, gdy jedno musiało iść zarabiać na chleb, a drugie jeszcze z zarabiania nie wróciło, synek spędzał samotne pół godziny, najdłużej trzy kwadransy, we frani. Mama lub tata obkładali synka poduchami, by się nie przewrócił, i stawiali pralkę z Karolkiem na niskiej szafce pod oknem. Nie płakał, miał w rączce jakąś zabawkę albo kawałek bułki i spokojnie patrzył w poranek, oczekując rodzica oraz wolności.

– Jak się zesikałem albo i gorzej, to bez problemu mogli mnie całego wyprać – powtarzał Karol, śmiejąc się z własnego dowcipu.

Nie wszystkie wspomnienia z dzieciństwa były zabawne, bo dziadek, który pił w „Gdaku”, spokojnie odsypiał alkoholowe zapomnienie, ale jego syn, czyli wujek Diany, po wódce wpadał w szal, więc pozostali członkowie rodziny musieli uciekać i niejedną godzinę spędzili na skrzypiących schodach starej kamienicy w centrum miasta. Mówiła o tym na pozór bez emocji, jak o czymś, co wydarzyło się bardzo dawno lub komuś zupełnie innemu. Pamiętała jednak. Pamiętała wszystkich pijaków o cuchnących oddechach, cukierki oblepione drobinami tytoniu, później nachalne spojrzenia, poklepywania, a nawet macanki w korytarzu czy kuchni. Mówili: „Cycuszki już masz!” Przemyciła przygarbiona.

Karol wołał historie sąsiedzkie. Wieżowiec był dziesięciopiętrowy, a on mieszkał w nim od samego początku, i dlatego znał dużo opowieści. Diana chłonęła banalne informacje o nazwiskach, pracy, zamożności i zwyczajach. Karol wołał te niebanalne, przeczące słowom piosenki, jakoby w domach z betonu nie było wolnej miłości.

– Była taka jedna, chyba na szóstym, która facetów zmieniała jak rękawiczki – zaczął któregoś razu. – Wprowadziła się z mężem, podobno milicjantem czy jakimś ubekiem, ale on prędko ją rzucił. Dziwne ciuchy nosiła i paliła takie cienkie, brązowe papierosy...

Diana drgnęła, ale Karol nic nie zauważył.

– Ile to razy wracała po nocy! – kontynuował. – Nie sama, zawsze uwieszona na jakimś facecie. Wypić lubiła. Czasami znikwała na całe miesiące... Tak... Raz to sąsiad szedł w niedzielę rano do kościoła, a ona leżała na dole. Szumu narobił, bo myślał, że zabita... Żyła jednak, tylko nawalona jak stodoła.

– Widziałeś ją wtedy? – zapytała Diana.

– No – potwierdził. – Nie wiem, jak się nazywała. Była podobno malarką... I dziecko miała, ale ta dziewczynka rzadko tu przychodziła, chociaż... – zamilkł, bo Diana wpatrywała się w obraz wiszący nad jej łóżkiem.

Karol zbladł.

– Przepraszam – wydukał. – Przepraszam, nie pomyślałem...

I wtedy, by zagadać gafę, opowiedział o swoim wstydzie: głupim wybryku, z powodu którego na długie lata przyłgnęło do niego przezwisko Siusiak, a w blokowej opinii pozostał tym, na kogo trzeba uważać.

Tamto zdarzyło się pewnego lipcowego, upalnego dnia. Grupa dziewcząt z podwórka rozłożyła kocyki na trawniku obok trzepaka. W siatkach przyniosły butelki z kompotem, ciastka, a nawet kanapki. Chłopaków nie było. Karol posiedział trochę na metalowej rurze, potem wywinął parę zgrabnych przewrotek. Udawały, że nie widzą małpich figli. Gadały.

– Karolku, chodź do nas – krzyknęła Iza, blondynka z piątego.

Nie zareagował. Zawisł na trzepaku.

– Przestań, bo ci się ręce wyciągną. Chodź do nas – ponowiła zaproszenie.

Leniwie, powoli, by nie pomyślały, że mu zależy, zszedł.

– No, czego chcecie? – zapytał, gdy znalazł się przy kocykach.

– Usiądź – powiedziała Iza. – Tutaj, koło mnie.

A co tam... Usiadł. Dziewczyny miały na sobie letnie, kolorowe sukienki w kwiaty, tylko Iza była w stroju niemal plażowym: krótkie spodenki i staniczek robiony na szydełku. Karol jako jedyny z towarzystwa nie wiedział, że ta

blondynka już od wiosny miesiączkuje, więc dlatego udaje, że należy do grona kobiet.

– Masz dziewczynę? – zapytała.

Wszystkie zachichotały. Mruknął wymijająco i zerwał źdźbło trawy, które włożył do ust. Gryzł je, by nie uczestniczyć w rozmowie. Iza nie dawała za wygraną.

– Karolku, a nagą kobietę widziałeś? – zapytała.

Napiła się kompotu z butelki, oblizała wargi i patrzyła wyczekująco.

– Pewnie – odrzekł.

– Chyba matkę – stwierdziła któraś z dziewcząt.

– Jezuu! – jęknęła inna, bo matka Karola, spracowana i piegowata jak syn, pięknnością nie była.

Karol zdenerwował się.

– A wy co? – krzyknął, wypluwając trawkę. – Może faceta gołego widziałyście? – I zerwał się z kocyka.

Iza, niezrażona wybuchem, poprawiła staniczek.

– Nie – powiedziała głosem dziecka, jakim przecież była. – Pokaż nam.

Patrzył na jej pogardliwie wydęte usteczka i zmrużone oczy. Rozejrzał się na boki. Upalne przedpołudnie, a krzaki wokół. Nikt nie szedł. Rozpiął spodnie. Pokazał.

Może ktoś oprócz dziewcząt to zobaczył. Pewnie jednak same wygadały.

– Zboczeńca wyhodowałam! Zboczeńca! – krzyknęła wieczorem matka Karola, lejąc go trzepaczką do dywanów.

Dużo później ta sama Iza, nadal mieszkająca na piątym, ale już gruba po ciąży, z żyłakami na opuchniętych nogach, z limem podbitym przez męża, zatrzymała kiedyś Karola. Przeprosiła za tamto. Przeprosiła, chociaż zdarzało się, że w czasie babskich pogaduszek, gdy tylko trochę wypijała, opowiadała koleżankom, że pierwszym fiutem, jakiego w życiu zobaczyła, był fiut rudego Karola z parteru.

– A było na co popatrzeć! – dodawała lubieżnie, nie chcąc pamiętać o innych zapatrzeniach, zazwyczaj kończących się kłopotami.

Karol przyjął przeprosiny, bagatelizując wydarzenie sprzed wielu lat. Wydarzenie, które według matki doprowadziło do śmierci ojca. Co prawda umarł dopiero osiem lat później, ale podobno z powodu zgryzoty związanej ze spółdzeniem zboczeńca. Sam Karol cierpiał bardziej. Pokazanie części ciała zazwyczaj ukrytych pod ubraniami kojarzyło mu się z upokorzeniem i laniem, więc nie chodził nawet na plażę, nie mówiąc o zdjęciu spodni przed jakąkolwiek kobietą.

Wysłuchawszy wstydlivej historii, Diana wzruszyła tylko ramionami. Po długim wstępie wygłoszonym przez Karola spodziewała się czegoś strasznego, a usłyszała opowieść o zaprezentowaniu jedynej rzeczy, którą mógł się pochwalić. Wychowała się w starej kamienicy, gdzie w brudnych bramach, w kątach podwórek, przy śmietniku czy w śmierdzących kocimi sikami piwnicach dzieciaki różne rzeczy robiły i niejedno pokazywały.

– Nie jestem zboczeńcem – powiedział Karol, gdy skończył.

– Nie jesteś – przyznała Diana.

Od drugiego dnia znajomości byli po imieniu, a przez tygodnie poznawania własnych historii zbliżyli się do siebie.

– Bałem się matki – wyznał. – Po śmierci ojca ciągle mnie pilnowała. Nawet jak studiowałem, to musiałem spowiadać się z każdej godziny.

Zachował dla siebie informację o tym, że trzepaczka szła w ruch, gdy pojawił się w domu niezgodnie z planem zajęć na uczelni. Niekiedy matka czekała na przystanku

tramwajowym po to tylko, by przez całą drogę powrotną narzekać i zapowiadać karę.

– Spodnie zamykała w szafie na klucz, a po mieszkaniu musiałem łązić w podartych dresach – wyznał.

Gdy umarła, nie poczuł wolności. Rzucił studia, pracował byle gdzie, pisał wiersze oraz powieści, których bohater nie był rudzielcem z parteru i nie bał się kobiet.

Duża, powolna Diana, o oczach zdziwionego dziecka, tak często nieobecnych, zapatrzonych w siebie, nie przerażała Karola. Przy niej, a nie tylko na zapisanych kartkach, mógł być kimś innym. I bywał, a ona, zasypiając, czuła palce oraz język Rolanda. Nie otwierała oczu, by czar działał.